



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowieza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POEZJA.

Między ziemią i niebiosy
Zawieszona w mgieł topieli,—
Na jej splotach srebrne rosy,
Nad jej głową miesiąc złoty...
Cała jasna, cała w bieli
Umaiła kwieciami sploty,
Gwiazd koroną wieńczy czoło,
Z oczu blaski ciska wkoło.

Między ziemią i niebiosy
W czarodziejskiej mieszka sferze,
Jej dochodzą cię odgłosy
W kwiatów woni i fal szmerze,
Szept jej słyszysz tu na ziemi
W dzwonów echu, borów szumie.
Między niwy złocistemi,
W nowej piosnce, starej dumie.

Z ust jej zaklęć siła żywa
Do serc ludzkich cicho płynie,
Nad poziomy je porywa,
Bujać każe w tej krainie,
Kiedy jeszcze cudzy, dziwy,
Świat, o jakim baśń nam baje,
Gdzie wiek złoty, wiek szczęśliwy,
Nigdy istnieć nie przestaje.

Ponad ziemskie bóle, troski,
Nad pył ziemski wzniesić się każe,
W sercach nieci płomień boski
I prowadzi przed ołtarze,
Kiedy dotąd święte Znicze
Na cześć piękna jasno płoną,
Budząc dreszcze tajemnicze
Pod zewnętrzną serc osłoną.

Selim.

POGA WĘDKA.

Nie długo czekać już będziemy na wyludnienie się Warszawy; kto ma grosz jaki taki opuści jej niedokończone bruki, przekopy robiących się wciąż kanałów i ów deszczowy wapienny, który co chwila to tu, to tam spada na ciebie z wysokości drugiego albo trzeciego piętra. Hasłem do takiego wylotu będą ukończone wyścigi, przebrzmiałe wrażenia po korsie kwiatowym, nasycenie się wystawą metalową i pięknym pokojem greckim na etnograficznej wystawie, miłe lub ciężkie a smutne westchnienia po totalizatorze, wreszcie ukończone egzamina dzieciaków i młodzieży płci obojga. Dziewczynki z pierwszemi nagrodami, chłopcy z patentami w dłoniach, z radością w oczach i dumą na czole szkolne pożegnają progi, by po miesiącach długiej i ciężkiej pracy oddać się zupełnej swobodzie w cieniach lasów sosnowych, albo wśród pól wonną zielonością pokrytych. Zapewne, że nie wszystkim nagrody i patenty przypadną, nie każdy dumnie czoło swoje do góry podniesie i postąpi w naukach rozraduje rodziców lub opiekunów: temu na prze-

szkodzie ku otrzymaniu dobrych stopni stanął umysł oporny, choć nie brak było chęci i pracy, inny zanadto liczył na pamięć wrodzoną, która w stanowczej chwili niedopisała śmiałkowi, ten zaś pomimo rzetelnej pracy i gruntownej znajomości przedmiotów, przed ostatecznym dniem egzaminu, zanadto umysł swój znużył, niejednej nocy niedospał i pamięć zmęczona odmówiła posłuszeństwa, myśl sena słów ni zdań w porządnym łańd ułożyć nie mogła. Bolesny to zawód dla uczniów dobrych, nierzadki jednak dla przeciążonych pracą, spędzających noce całe nad książką.

Słyszeliśmy o projekcie przeniesienia egzaminów na czas zimowy. Nie zdaje nam się, ażeby ta innowacja była dobrą, przeciwnie, całkiem odmiennego byłibyśmy nawet zdania. Bo zwróćmy uwagę na dzisiejszą, uczącą się młodzież. Jak rzadko spotykamy okraszone zdrowym rumieńcem twarze; postacie są nikłe, policzki zapadłe, pierś wązka, wzrost średniej nie dochodzący miary a oczy szkłem uzbrojone. Jeżeli zaś nie dojrzymy okularów, to bądźmy pewni, że o kroków dziesięć młodzieniec ten w mundurku ludzkiej nie rozpozna twarzy. Krótkowidztwo jest powszechne, przyczyną jego: książki drukowane i ślęczenie wieczorami nad niemi. Podczas egzaminów młodzież najczęściej ma zajęcie, lecz, że one przypadają w miesiącach letnich: Maj i Czerwiec — w czasie najdłuższych dni a nocy najkrótszych, wzrok uczących się ratuje słońce, bo przy świetle lampy zaledwie godzin parę przesiedzieć mogą. Z projektowaniem przeniesieniem egzaminów na czas zimowy, rzecz całkiem się zmienia. O godzinie czwartej po południu zmierzch zapada, ustępuje przed ósmą zrana. Młodzież więc będzie zmuszona pracować przy świetle lamp. Zdaje się, że nie mamy potrzeby dowodzić szkodliwości takiej pracy na oczy. Krótkowidztwo bardzo łatwo przemienić się może w ślepotę, cierpienia zaś oczne staną się codziennym wypadkiem. Przy bliższem rozpatrzeniu rady pedagogicznej, rzeczony projekt powinien stanowczo upaść.

Od chwili, w której Maj się rozpoczął, pisało się o wszystkim, co nam ten miesiąc przyniósł, nie zapomniano się nawet o zasłyszanej gdzieś piosnce słowika, o kwiatach, które mają wkrótce śmierć ponieść z rąk korsarzy gwoli ozdobienia ich pojazdów, o pożarach i nie pożarach, biedzie ludzkiej i tej odrobinie szczęścia, którą czasem to tu, to tam się spotka. Nie wspominało się o jednym tylko, czem się jednak każdy prawie warszawiak zajmuje, poczynawszy od mieszkających w pałacach, a skończywszy na suterrenach niemal.

— Co to jest?

— Ej — czyż nie zgadujecie?

— Wyścigi i totalizator!

— A oczywiście!

Przypatrzcie się tłumom, które dwukrotnie, czy trzykrotnie tygodniowo (bo dokładnie nie wiem), dążą na ogrodzony plac części mokotowskiego pola, by nasycić wzrok swój charciami skokami koni i — przy budce totalizatora szczęścia spróbować. Nie znam historii rozwoju owej, niewinnej zrazu zabawy, ale rzeczoznawcy to i owo mają o niej do powiedzenia.

Zaprzyszłej np. niedzieli na wyścigach konnych było obrotu w totalizatorze, nie mniej nie więcej, jak 119,300 rs.

Ładna cyfra — a co ona mówi?

Bardzo dobrze i bardzo źle zarazem. Bardzo dobrze, bo jest dowodem, że jeszcze pieniądze mamy; źle zaś bardzo, bo jest drugim dowodem, że namiętność hazardu w nas się z dniem każdym rozwija i — że, nie mając swojego Monaco, urządziliśmy je sobie pod niebem odkrytem na mokotowskim polu. Wyścigi, same przez się, jako zabawa magnatów, mogą mieć rację bytu, lecz nie sądzimy ażeby jakakolwiek bądź wagę można przywiązywać do ważności rozwoju wyścigowych stajen. W niezem a w niezem nie przyczyniają się one do bogactwa kraju. Co z tego, że Roi de Lahor (zdaje się że tak) potrafi szesnaście przeszkód przesadzić i swojemu właścicielowi kilkanaście tysięcy rubli do kieszeni napędzić? Wolałbym widzieć doskonałe stado koni roboczych, w jakie mógłby się każdy włościanin zaopatrzyć. Ale przejrzyjmy gospodarstwa wiejskie, zajrzyjmy tam do stajen i stajenek — o Jezul — jakie to cherlactwo macierzystą ziemię orze, mizerne, małe — niby to koń, bo podobne do konia, ale przez długie pokolenie zwyrodniałe straszliwie. Gdyby tak tego pana anglika, który lekko na swoim grzbiecie w stroju arlekinowym dżokeja unosi, zaprzadź do pługa albo poprosić do pociągnięcia armatki — nie wiem, jakby to tam było z tą krwią doskonałą. Ale trudno, słyszymy ciągle o postępie w hodowli pełnej krwi rumaków i rozkwicie wyścigowych stajen.

Kto wie jednak czy wyścigi, jako zabawa sama przez się, posiadałyby tyle uroku, gdyby totalizatora nie było? Jeżeliby nie znudzili się tym sportem sami sportsmeni, to ludek, napełniający dzisiaj tak szalenie wyścigową arenę — znużyłby się prędko obcą dlań zabawą. Lecz go pociąga nie chęć zobaczenia skoku pół czy całej krwi anglika, lecz namiętność gry hazardowej, nadzieja łatwego zdobycia grosza, byleby mu tylko los dopisał, a że ten los ma twarz jak sfinks tajemniczą — kto wie do kogo się uśmiechnie, kogo wynagrodzi tak pożądaną zawsze mamoną?

Dowiadujemy się jednak od rzeczoznawcy, że dawniej inaczej bywało. Dawniej istniały stawki dowolne, poczynając od rubla. Kto więc chciał szczęścia próbować, stawiał mniej lub więcej, stosownie do swojej zamożności; czasem wygrał, czasem przegrał, czasem nawet ucziwie zgrał się, jeżeli mierzył siły na zamiary, ale zawsze więcej było takich, co z rublem w rękę próbowali szczęścia ślepej fortuny. Znaleźli się jednak ludzie dobrej woli, którzy, widząc za wielkie uczestnictwo tłumów w tej grze hazardowej, która bądź co bądź roznamiętniała a więc demoralizowała masy — pragnęli je odsunąć od udziału w tej zabawie — podwyższeniem stawki.

— Nie od rubla, lecz dziesięciu rubli możesz, hołoto, grę rozpocząć — myślał reformator — a że o dziesiątkę nie łatwo jest tobie, *volens nolens*, moralną się staniesz i tylko wybranym można będzie stukać do budki totalizatora.

Tak myślał, ale źle myślał — niedobrym widać był psychologiem. Namiętność silniejszą jest nad

możność i rozum. Próbowanie szczęścia jest zawsze silną pokusą. Z brakującymi dziesięciu rublami poradzimy sobie; przecie można pożyczyc, sprzedać, zastawić, a że większe jest ryzyko, więc zainteresowanie się większe, a i większa przypaść może wygrana. Dyabeł nie śpi.

— Próbuj! szepce do ucha naszego.

I zaczęły się próbki.

I poszła gra na wielką skalę, aż zaprzyszłej niedzieli zanotowano obrotu w totalizatorze:

119,300 rs.

Nie tak się uśmierzały namiętności ludzkie.

Więc co robić. Może stawki podnieść do setki całej? A wtedy?

— Wtedy to samo będzie. Więcej tylko ludzi zapozna się z nędzą.

— Skasować więc zupełnie grę w totalizatora?

— Ba! Lecz kto wie, czy to nie pociągnie za sobą upadku wyścigów, a co za tem idzie i hodowli folblutów?

I tak źle i nie dobrze — co więc robić?

Ha! trudniej było kazać słońcu naokoło ziemi się obracać, a przecie znaleźli się tacy, co i tego dokonali. Może i między sportmanami, *sui generis* Kopernik się urodził.

Nie tylko jednak wyścigi zajmują obecnie miasteczko nasze. Oczekiwana wystawa metalowa, w cyrku przy Ordynackiej otworzyła swoje gościnne wrota i zasłużonem cieszy się powodzeniem. Oczywiście, że nie będziemy przechodzili wszystkich działów ani rozbierali ich poszczególnie, przekracza to zakres, tak zwyczajnej pogawędki, jak i kompetencyi naszej w tym przedmiocie. Powiemy tylko, że całość przedstawia się bardzo efektownie, że postęp na tem polu przemysłu jest w całym znaczeniu tego wyrazu dodatni, jeżeli zaś pomiędzy pięknymi wyrobami ze złota i srebra, mimo pięknej roboty i kunsztowności wykonania, widzimy brak pomysłów i motywów nowych, swojskich — to dziwić się znów tak bardzo temu nie można, wiedząc, że nie od tak dawna datuje się u nas rozkwit przemysłu w ogóle, że przeważnie zajmowali się nim zagraniczni przybysze, gotowe wzory przynosząc ze sobą, zespoleni z nową ojczyzną interesem tylko. Mamy jednak nadzieję, że i na tem polu posunemy się naprzód; że obecna wystawa wskaże co zrobione a co zrobić wypada. Bądź co bądź, zwiedzając jej sale, rażniej na duszy się nam robi, bo cieszy wszelki postęp, to wszystko, co mówi, że się nie śpi, lecz czuwa i pracuje.

Zaczęło się więc oglądać i Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych za gmachem własnym. Ostatecznie zdaje się nie postanowiono, ale Zarząd zwrócił oczy na plac ewangelicki, na ów skwer piękny, odrzwiony, jedyny w całej Warszawie mający tyle cienia i tak pięknie rozwinięte kasztany. Ze grunt należy do miasta, Towarzystwo ma go *wypożyczyć* i zbudować na nim gmach własny. Przeciwno temu wyborowi powstało wiele głosów. Profesor Gerson nie radził stawiać domu na gruncie *nie swoim*, inni, krom tego uzasadnione o twierdzenia, mają tu jeszcze jedno *ale*, które, chciałbym szczerze, aby zwyciężyło ostatecznie.

Każdy gmach piękny, a takim być musi i przybytek sztuki, jest niezaprzeczoną ozdobą miasta, ale też i każdy kawałek odrzwionego gruntu w mieście, nie tylko go ozdabia, lecz i ze względów zdrowotnych szanowany być powinien. Jak rzekliśmy, skwer na placu jest jednym z najpiękniejszych skwerów, boć to nie od dziś tam rosną posadzone kasztany, mają już sporo lat za sobą, a rosną pięknie, rzucają cień szeroko i rok rocznie okrywają się bogatym płaszczem przepysznych kwiatów. Szerokie wymiary gmachu zniszczyłyby skwer prawie cały, a Bogiem i prawdą, nie wiem co większą stanowiłoby ozdobę miasta, czy gmach najpiękniejszy nawet, czy ten gaj o kopule zielonej. Doprawdy, dziwna byłaby gospodarka naszego miasta: z jednej strony niszczenie, z drugiej ciągle sadzenie drzew. Przypomina nam to niekończącą się nigdy robotę Penelopy. Gdyby przyszło do głosowania, głosowałbym za nienaruszalnością pięknego skweru przy placu ewangelickim.

Kto żyw a może, wyjeżdża z Warszawy, poszukując zieleni i powietrza, powietrza, powietrza. Pomijając, że w dalszych lub bliższych okolicach miasta, przy stacyach dróg żelaznych w różne strony

świata z naszego rozchodzących się grodu, pobudowano wille i krom nich dużo chałup wiejskich gotowych jest do wynajęcia: właściciele tych siedzib wiejskich drożą się, stawiając tak wygórowane ceny, że dobrze kabzę groszami potrzeba mieć nabita, ażeby módz się na warunki zgodzić. Nie rzadko za jeden lichy pokoik z kuchenką, za trzymiesięczny pobyt rs. 200 zapłacić potrzeba, z przydatkiem zaś każdego pokoju i cena stosownie się powiększa, tak, że spragniony ciszy wiejskiej warszawiak, sam nie wie co ma z tym fantem robić: czy wyrzec się sielskich rozkoszy, czy, zgodziwszy się na warunki, wyrzec się zimową porą ogrzewanego pieca. To też dotąd nie wiele jest tych małych rajów wynajętych: warszawiacy się trzymają, trzymają się i ze swoimi cenami willi właściciele, a na groźby, że nikt ich domków nie wynajmie, mruczą sobie z uśmiechem pod nosem:

— Strachu niema — przyjdzie koza do woza!

Przed paru dniami, udałem się z moim przyjacielem do Otwocka. Ceny — patrz wyżej, i to — *ceny stałe*.

— Chodźmy do chłopca — odzywa się mój przyjaciel.

— Czy panowie nie z Warszawy czasem? — zagaduje nas jeden z gospodarzy.

— A z Warszawy.

— Po mieszkaniu letnie?

— Tak, gospodarzu.

— A no, to proszę do mnie.

— Macie?

— I jakie!

Idziemy — gospodarz nas prowadzi do — chlewu. Drzwi, przez które ażeby przejść, dobrze się schylić potrzeba, kwadracik w ścianie wycięty służyć ma za okno. Na podłodze spoczywała jeszcze mieszkanka tej przyszłej naszej siedziby.

— W sam raz dla panów — odezwał się właściciel willi onej.

Możnaby to było wziąć za impertynencję, gdyby rzecz całkiem poważnie traktowaną nie była. Myszmy serdecznie śmieli się.

— Ależ, gospodarzu — tożto chlewek.

— Tera — ale jak panowie targu dobiją, to się swinię wypędzi, wyprzątnie, obieli, wymyje i stancya będzie warszawska, nieskanalizowana jeno, choć rowek dla wygody przekopać można.

— Ładne mieszkanie — zaśmiał się mój przyjaciel.

— A juści!

— I cóż cenicie? — spytałem dla ciekawości.

— Nie drogo — pięćdziesiąt rubli, ale można i za kwartał przesiedzieć. Panowie aż się dobijają.

— Dla czegożście nie wynajęli dotąd?

— Targują się, a ja spuścić nie mogę.

Oczywiście że i z nami do skończenia nie przyszło, ale doprawdy, że Franciszek Kostrzewski nie przesadzał w rysunkach swoich mieszkań letnich.

Nie myślcie szanowni czytelnicy, ażeby wczemkolwiek bądź przesadził. Stosownie do wymaganych cen, wygody nie znaleźć, ale każdy z nas, opuszczając Warszawę, liczy na pocziwłą pogodę, która pozwoli większą część dnia na świeżem powietrzu choćby pod parasolem przepędzić. Z tego jednak widać, że liczba letników wciąż wzrasta, a siedzib za mało jest stosunkowo. Szczęśliwi więc ci, co mogą nieco dalej wyruszyć, choćby do Zakopanego, które *Odkopanem* dzisiaj nazwać się powinno, bo nie jest już tym dawnym, zapadłym, zakopanym kątkiem, lecz nie odróżnia się dziś niczem od innych miejscowości, rojnych od tłumów, z restauracyami i balowemi salami. Ale przynajmniej są Tatry tuż, tuż przed tobą; możesz uciec od gwaru przypominającego ci tam miasto i w chmurach skapać i z orłami zbratać i zapomnieć, że tam za tobą pozostali świat i ludzie.

W CODZIENNEJ WALCE

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

St. Ariel.

(Dalszy ciąg).

V.

Dzień był już październikowy. Słońce mimo godziny blisko dziesiątej nie zdołało przebić mglisto-szarej opony chmur—i chłód przejmował.

Joasia jednak od godzin paru krzątała się po ogrodzie, doglądając robót jesiennych.

Przy pomocy bowiem pani Zenobii zdołała ona zebrać tyle pieniędzy ze sprzedaży różnych haftów, że starczyło na nakład tymczasowy.

Wprawdzie nie wszystko szło po jej myśli. Mosiek nie dał się wyrugować z sadu, ponieważ oddawna był panu Wiktorowi wypłacił owe rubli dziecię i przyjął ich z powrotem, ani ustąpić w żaden sposób nie chciał.

Joasia zatem nietylko znosić musiała w ogrodzie bezustanną krętaninę całej rodziny Moska ale musiała patrzeć na to, jak drzewa niszczyli bezmiłośniernem obijaniem i trzęsieniem; a wreszcie, całe wózki sliw i jabłek wywożąc—owe marne kilka rubli odbierali za owoc na rynku miejskim po dziesięćkroć.

Zbroiła się wszakże w cierpliwość, powtarzając w duchu: „skończy się to panowanie—ostatni rok!“. Musiała się niemniej zbroić w milezenie, gdy czaruny, suchy Mosiek, nabrawszy nagle ogromnej litości dla pokaleczonych przez się ofiar, gorąco przekładał jej począł, by starych „drzewów“ nie wycinała.

— Bo ileż to lat, aj, aj! ta gałązka potrzebuje, by w gałąź zgrubiła! A ile to czasu i słońca i deszczu *uny trza*, by choć jedno jabłko urodziła! I czy to nie grzech przed Panem Bogiem i przed sumieniem człowieka, takiej gałązce, takiemu żyjącemu drzewu jego żywienie zabierać?...

To też o ile sadownik, ostatek swych rupieci wynosząc z letniej budy, z trwogą przyjmował zaprowadzane zmiany, o tyle Joasia z radością patrzyła jak ruch zapanował między zaspanym gąszczem krzewów, a rydel przewracał wyjąłowioną ziemię.

Gdy Joasia wchodziła do pokoju zarumieniona od parogodzinnej pracy na powietrzu—w jadalni zastała jeszcze stół zastawiony, ponieważ wszyscy prócz niej wstawali dość późno i śniadanie zwykli byli pić z osobna. Na pierwszym miejscu siedział Wacław, który wyjątkowym trafem, wcześniej się ubrał, na jakieś polowanie wybierając się ze znajomymi.

Nie na nim wszakże, ale na matce Joasia wzrok zatrzymała.

— Matunia kluczy szuka?—rzekła, widząc to dobrze znane uganianie się matki w kółko: od komody do kredensu, do stołu, stolika—z jadalni do sypialni, jakby w błędnym ściganiu dnia minionego, co jednak pochłaniało mnóstwo czasu i trudu. — A ja dałam matuni na nie koszyczek i przywiązałam długą tasemkę — dokończyła, jak do dziecka łagodnie.

Pani Leska spojrzała na córkę zawstydzona, lecz i wdzięczności pełna. I machinalnie przysiadła na stołku zmęczona.

— Ja mamie poszukam... Niech mama przynajmniej herbatę wypije!—zawołała Frania, zrywając się od przetaka z borówkami, które przebierała.

— A... a... dobrze; ale żyd z mięsem czeka i piekarz... Trzeba rachunek—piętnasty...

Co dwa tygodnie regularnie przychodzili ci obaj dostawcy po pieniądze, co okropny zamęt wywoływało. Luźne bowiem kartki z rachunkami wiecznie ginęły; pamięciowe obliczenia się nie zgadzały. Przytem gotówki często brakowało, wskutek czego powstawał na razie „wspianiałomyślny kredyt“, a następnie sprzeczki. Książki zaś rachunkowe przez Joasię zaprowadzone nie na wiele się przyda-

ły, albowiem nieraz w spiżarni zamknięte, przy gubieniu kluczy stawały się niedostępne.

— Wzięłyby i to gospodarstwo na siebie?... Nie—nie możebne—dla matki za przykre... — myślała Joasia w zadumie.

— Frania! Kawa ze wszystkim zimna! Cóż to? ogień wygasł w kuchni, czy co?—nagle odezwał się Wacław, tonem obudzonego uchybieniem władcy.—Raz wcześniej wstałem, to już nie gotowego na porę nie ma!

Zanim dziewczynka zdołała za rozkazem wyskoczyć, pani Tekla już ujęła imbryk i garnuszek ze śmietanką—i za drzwiami znikła.

— Mógłbyś ogłędniej wyrażać się wobec mamy,—powiedziała Joasia, przeczuwając, że przytyk o „niegotowych“ rzeczach, dotyczył niezawodnie innych obsług, z którymi matka pewno się opóźniła.

— A czy to jej lecieć kazałem? przecie zawsze sama się wyrwał!

Joasia słowa już nie rzekła.

Stosunek jej z bratem chłodny był, naprężony, albowiem ich natury, z wprost przeciwnych sił i pierwiastków złożone odpychały się instynktem, jakkolwiek do otwartej walki jeszcze nie występowały.

Co prawda ona starc unikała—i teraz natychmiast się usunęła.

W pokoju dziewcząt zastała Helkę przed zwierciadłem kładącą kapelusze, wśród największego bezładu w otoczeniu, rozwleczonych codziennych domowych sukien, bucików, nie wyłączając i połamanego gorseta pod stołkiem.

— Marysia sprzątnie.. ma czas... Mnie się śpieszy,—powiedziała Hela, zapobiegając napomnieniom

— Czy idziesz do kościoła?

— A... tak—wstąpię. I do Klotyldy, bo obiecała mnie nauczyć takich kwiatów, jak u nich w salonie. Porobię dla nas przesłiczne różowe.

Joasia przypominała sobie obfite w mieszkaniu Zdziarskich ozdoby z bibułki, pasowej flaneli i traw włóczkowych—i nieznacznie wzruszyła ramionami.

Już zaś podrażniona cokolwiek zachowaniem Wacława, teraz potykając się o drugi punkt nie po myśli płynącego domowego życia, nagle postanowiła przeprowadzić stanowczą rozmowę z Heleią, czego dotąd nie czyniła.

Położenie jej było niezmiernie trudnem, jak wogóle człowieka, który nie rozporządzając władzą nieograniczoną i sam bez poparcia, chce przeprowadzić reformy wśród jednostek samopas puszczo-nych.

Rodzice jej bowiem, przez moralną opieszałość, zdawna w całym postępowaniu praktykowaną, działali wprost paraliżująco i negatywnie. Wskutek czego Joasia co chwila posadzana o nowatorstwo i despotyzm, przedewszystkiem usiłowała oddziaływać zaparciem się i własnym przykładem. Lecz nie wszyscy zdolni ulegać szlachetnej podniecie; ofiarność częstokroć tylko rozzuchwała samolubstwo i wyzysk, zamiast je poskramiać.

Helka z początku czepląc się „starszej“ przez ciekawość i pewne wyrachowanie, od wieczorku u Zdziarskich tak wrosła w próżniactwo i zarozumienie, że całe dni trawiła za domem, nad fabrykowaniem strojów, lub na bębieniu po fortepianie.

— A wiesz co, moja droga, że ja nie chciałabym, abyś tak często chodziła do Klotyldy—ostrożnie tedy zaczęła Joasia.

— Ty byś nie chciała, ale ja chcę, a nie ty idziesz, tylko ja,—odrzucała Hela.

— Mnie się zaś wydaje, że gdy się zastanowisz, to odstąpisz sama.

— Ciekawam!... Cóż zaraza u nich? Czy towarzystwo nie dość wyborowe? Ha! Ale mnie Warszawa w głowie nie przewróciła; dla mnie wystarczą.

— Kiedy — mówisz niedorzeczności. Przecież nimi wcale nie poniewieram. Uważam tylko, że niezbyt korzystnie na ciebie wpływają, że zresztą ciągłymi wizytami się rozbałamucasz.

— A bo też miałabym rozum, żebym jak ty po całych dniach ślęczała i kuła!

— Wierżaj, w naszym położeniu właściwsza choćby mały produkcyjna, lecz rzetelna praca, niż dłubanie żabków szydełkowych, które potem kawa-

łami obdzierasz gdy się nadprują, lub robienie kwiatów z bibulek, a nawet smażenie całych garn-ców konfitur i smakołyków, jak u Zdziarskich.

— Klotylda jest swobodna, zarabiać nie potrzebuje, pocóż więc ma sobie czegośkolwiek odmawiać? Zresztą, ktoby tam z tobą końca doszedł... Cóż na przykład ja mam znów takiego spełniać, aby było według twoich przepisów. Bo ty zarządzasz ogrodem, ty robisz suknie, ty haftujesz—dla mnie nie nie pozostało, jestem wszędzie piąte koło.

— Moja droga! roboty nie znajdzie tylko ten, co nie chce. Ale owszem, weź które z moich zajęć na siebie, ja cię wszystkiego wyuczę i ustąpię. Każde może ci z czasem dać dochód wystarczający przynajmniej na własne potrzeby.

Helka, która podczas całej rozmowy nie odstępowała od lustra, to dłubiąc koło krosty na brodzie, to jeszcze poprawiając grzywkę rozczapierzoną pod bordo toczkiem niezadarnym, lecz z kremowymi pomponami — teraz uśmiechnęła się z chytrą przyjemnością.

„Mieć własne pieniądze!... Fiu! nie potrzebowałaby wtedy ciągle w różowej sukni chodzić na wieczorki i sprawiłaby sobie kostium „electricque“ z pluszową plisą, jak Felka Chrupalska i chodziłaby na ślizgawkę!... Tylko — co najzyskowniejsze? Joasia najwięcej zarobiła haftem...“

— No dobrze—zaczęła więc po chwili namysłu—będę haftować. Tylko czy to z początku trzeba coś robić na próbę, czy od razu można do sprzedania?

Lecz posłyszawszy, iż w tem również nauka pewna konieczna, bardzo w zapale ostygła i zgoda nie odstąpiwszy od zamierzonej wizyty, głośno stukając obcasami, wyszła.

Joasia popatrzyła za nią—a potem szybko zasłała łóżko.

— Na drugi raz jej powiem; ja wówczas sprzątałam za ciebie, zdejm kapelusze, zostań!...

Obecnie jednak nie chciała wodzić służącej, z zasady unikając wtykania coraz to innej roboty w ręce.

Sama zaś miała tak subtelne poczucie *ładu i bezładu*, że poprostu nie znosiła przed oczyma ani powyrzwywanych sprzętów, ani porozrucanych rzeczy, jak gdyby instynktem rozumiejąc moralną piękność, jaką porządek we wszystkim stanowi. Niemniej też uznawała, że bezład, czyli zamęt i rozprężenie przeniesione w sferę uczuć, zasad, myśli i czynów, sprowadzają najczęściej krzywdę, niesprawiedliwość i przestępstwa.

I to stanowiło podstawę jej uczuć, a zarazem przekonani i bodźców jej postępowania.

Na drugi dzień, gdy tylko do obiadu zasiedli, Joasia zwróciła się do ojca, a snadź żywo czemś poruszona i wstrząśnięta.

— Mój tatko drogi, i cóż to znaczy, Johan Krebs znów orze ten nasz grunt za rzeczką, na którym miał kartofle? Wczoraj podołudniu zaczął, dziś znów przyszedł — oczom wierzyć nie chciałam!... Czy mu to ojciec nie powiedział, że już tam siał ani sadzić nie pozwoli, bo sami ziemię zabierzemy?

Pan Leski nie przywykły rozmawiać przy obiedzie, tak obojętnie kończył zupe, iż Joasia sądziła, że jej wcale nie słyszał. Dopiero wybraawszy resztki barszczu z talerza, który aż przechylał ku sobie, aby nie nie stracić, i oblizawszy raz ostatni łyżkę—oczy podniósł ku córce.

— Tak—tak—rzeczywiście... nie powiedziałem.

— Dla czego?

— Myślałem, widzisz, że sobie to wyperswadjesz... Jakos tak — nijako było mi z tem występować.

— Ależ dla czego? Johan darmo użytkował tyle czasu, może nawet ojeu „Bóg zapłać“ nie powiedział.

— To też bo właśnie, widzisz, że od tak dawna mu pozwalałem, więc teraz odbierać jakoś nie śmiem.

— Ależ mój tatko, jesteś w najzupełniejszym prawie! przecie to nie darowizna, twoja łaska—możesz ją cofnąć każdej chwili. Czy Krebs zrobił ci cokolwiek choć na owinięcie palca za to?

— No—nie... Gdy przychodził tu z końmi zao-rać nasz płat pod kartofle, tom osobno mu płacił.

— A więc widzi ojciec! Pokazuje się, że to nawet człowiek niesumienny, cheiwy. Bo inny, ucziw-

szy, jeśli nie dałby pieniędzy, skoro tatka nie za-
dał, to odpłaciłby choć trochę robotą.

Od czasu pierwszej rozmowy, Joasia tylko raz je-
den poruszyła sprawę ogrodu, prosząc, aby ojciec
uprzedził Krebsa o zmianie. Nie przypuszczając
też, by rzecz załatwioną nie była, wyjść z przykre-
go podziwu nie mogła.

Tymczasem półmisek zrazów z kaszą postawiono
na stole.

Przerwała tedy rozmowę, wiedząc, że ojciec jej
teraz nie prowadzi. Przytem nadto była wzbu-
rzona.

— „Jak to można, doprawdy, tak postępować—
jak można!“—powtarzała w duchu, odnośnie do oj-
ca i chytrego kolonisty.

Zapanowało więc milczenie, przerywane szczeka-
niem noży i widelców. Tylko dziewczęta bąkały
coś pod nosem, jak zwykle między sobą. Waclaw
zaś obgryzał kureczę pieczoną, zamiast zrazów, któ-
rych nie dotykał, i krzywił się jak po gorzycy, choć
zmiażdżał kompot; uważał bowiem rozmowy o intere-
sach za wielce niestosowne przy obiedzie, ze wglę-
du na trawienie.

Joasia wszakże nie sobie z tego nie robiła, i skoro oj-
ciec wylizał już chlebem sos z talerza i kaszę rozrzuconą
po ubraniu i stole skrzętnie pozbiierał palcami, na
nowo podjęła:

— Ale rozmówi się, tatka, z niemcem i to zaraz.
Gdy pole zaorze, będzie rościł pretensje większe.
Ja muszę co prawda kogoś do tego wynająć; mo-
głabym więc jemu zapłacić, ale niech wie pierw-
szak jak rzeczy stoją.

— No—a... moja droga—zaczął pan Wiktor, nie
spodziewając się, aby dalej ten przedmiot obrabia-
ła—a czemuż ty sama się z nim nie rozmówisz?

— Ja?! Ależ Krebs mnie nie usłuchał! Będzie
sądził, że rozporządzam się z własnej woli, bez wia-
domości ojca: zakpi sobie z moich rozkazów, z dy-
mem fajki je puści, albo jeszcze mnie zwymyśla!

— Mnie się zaś co prawda wydaje, że on i z mo-
jemi to samo uczyni. Z pludrem sprawa niełatwa,
jeszcze z takim szelmą twardym. To człowiek upar-
ty i przebiegły—i gdy raz na co łapą wlezie, już
popuścić nie rad. Pozwoliłem mu kiedyś w jesieni
popaść krowy ze strony ogrodu nad brzegiem rzecz-
ki—to na drugi rok wypasał je z wiosną, przed sko-
szeniem trawy. Pozwoliłem jednego roku do sto-
dół złożyć żyto, na drugi bez pytania zwiózł je
znowu.

— To mógł mu przecie ojciec kazać wyrzucić!

— No, tak—widzisz—ale ja wtedy byłem w biu-
rze, gdy przyjechali, a matka sobie radzić nie umia-
ła. Skoro zaś już ułożyli, to nijako było harmider
wyprawiać, i tak weszło w zwyczaj.

— Więc ciągle składa i darmo?

— A ciągle—pewno ciągle, nie wiem... prawda
Tekluniu?

— Tak,—boleściwie potwierdziła matka.

— A przedtem co w stodole bywało?

— A także zboże, tylko innych; wynajmowałem.

— Ma zatem ojciec drugi dowód nieuczciwości,
wyzysku i cheiwości Krebsa.

— No, to tam nie o wielkie rzeczy się roz-
chodzi.

— Ale i czy i małe dla nas bez znaczenia?...
Zresztą, w tem słuszności nie ma!—dodała ży-
wiej.—Pewna jestem, że Johan w dodatku jeszcze
wydrwiwa dobroć tatki za plecami.

— Tego to tam już nie wiem—nie widziałem.

Joasia rozmyślała. Po chwili zagadnęła znowu:
— A dla czego mu tatka dobrodziejstwa wy-
świadcza, skoro pokazuje się, że jest nawet złym
sąsiadem i człowiekiem?

— A bo widzisz, on ma tam pole koło naszego
i domostwo—już ci przecie tłómaczyłem—i tak ja-
kos przekładał, że jedno przy drugim zasieje, że
biedny. Wtedy był na dorobku... ledwo się tu
zwieźli po jakiejś pogorzeli z pod Wrocławia... Ja
znów czasu nie miałem, ani pieniędzy by tem
wszystkiem się zajmować, więcem pomyślał w koń-
cu: było, nie było—niechże ma choć człek potrze-
bujący pożytek. No, i zrobiło się, jak ze stodół:
orał potem, siał, sadił, nie pytał.

— Prusaki!—rzuciła Joasia przez zęby.

— No, no, przecie po polsku mówi i poddaństwo
tutejsze podobno przyjął.

Dziewczyna potrzasała głową z widoczną myślą:
„przyjąłby i tureckie, gdyby mu było potrzeba dla
interesu.“

— A od jak dawna on tu siedzi? — zapytała
głośno.

— O pewno z lat jedenaście lub dwanaście. Jak
tylko sprzedaliśmy, a raczej zamienili folwark ze
Zdzierskimi, i tu się przenieśli.

— Tak, jedenaście, to Frania miała wówczas rok
trzeci, — wtrąciła pani Tekla, zwyczajem mat-
tek jakby znacząc w pamięci metrykami dzieci.
Lecz minę miała tak sfrasowaną, jak gdyby dopie-
ro teraz dowiedziała się o stracie, jaką ponosiła.

— To jeszcze wówczas, gdy ja byłam w domu!—
zawołała Joasia niejako dziwiąc się, że nie broniła
od wyzysku w dziewiątym roku życia.

— Tak—to będzie trudna sprawa!—szepnęła do
siebie—Ależ musi być jakiś sposób! niepodobna! Mo-
że—możeby Waclaw poszedł razem!—rzuciła nagle,
w całym zapale zapominając się i widząc w nim
tylko głowę starszego brata i prawnika.

Waclaw spojrzął na nią, aż iskry błysnęły i gwał-
townie odsunął filiżankę po czarnej kawie, którą
z wolna sączył.

— A, już aby mnie daj święty spokój! — rzekł
opryskliwie.—Ucierać się z gburem, kłócić, może
bieć jeszcze!... Ojciec pozwalał, niech ojciec zabra-
nia. Tobie zachciewa się gospodarować, jakies
zamki na lodzie stawiać, to ujadaj się sobie sama.
Cóż mnie to wszystko obchodzić może?

I od stołu powstał.

Joasia stanęła w płomieniu, który omal z oczu i lic
jej kwią nie trysnął. I ona z miejsca ruszyła.

— Bo widzisz—za rękaw ją łapiąc, z cicha za-
czął pan Wiktor zaniepokojony jej wzburzeniem—
widzisz, on się narażać boi—jego stanowisko nie
pozwala...

— Jakie stanowisko? próżniaka? — zapytała
z chłodem, który—byłby psychologa przeraził, ró-
wnie nagły, jak ogień poprzedni.

W tej słodkiej, czystej duszy poczęła krystalizo-
wać się na dnie wyraźna niechęć i pogarda.

VI.

Gdy Joasia przeszła do swego pokoju i siadła
przy krosnach ustawionych między oknem, a stoli-
kiem, nie mogła jeszcze się uspokoić i do roboty
ochoczo zabrać.

Były chwile, w których dotkliwie przypominała
sobie uczucie zupełnego osamotnienia, które ogar-
nęło ją od wejścia w progi domowe; tylko teraz
stawało się ono pełną świadomością.

Ale zaczątki silnej woli tkwiące w jej charakte-
rze i duszy, rozwijały się wśród zapasów codzien-
nych. I upór, który w matce tkwił cichy, niepro-
dukcijny, zwrócony jedynie ku temu, aby wszystko
w milczeniu znosić, więc niejako cofający wstecz,—
w niej przez odmianę natury i wyrobienie pojęć
przeradzał się w chęć przebijania choćby głową
muru, byle dopiąć — w siłę pchającą naprzód i na
przebój.

Hardo podniosła też głowę, — i oczy zwróciła ku
oknu, wychodzącemu na tę część ogrodu, poza któ-
rą właśnie znajdował się sporny szmat gruntu.
Wyjrzała: — Krebs obracał plugiem, szkapy siwe
poganając, wysoki, tęg, a przygięty w barach, ni-
by wół spracowany w jarzmie.

Gorąco ją oblało, jak gdyby lemiesz po grzbiecie
przeszedł.

— Zapłacę ci za twą fatygę, — rzekła wszakże
po chwili, czując, że tej garści ziemi wydrzeć nie
pozwoli.

I rozwinęła szpulki złota i jedwabie.

Ręce jej poczęły żywo się poruszać; a stukanie
igły, ledwo przebijającej gruby atlas rozciągnięty
w krosnach, wtórowało pracującej duszy.

Głowa jej bowiem snuła teraz mnóstwo kombina-
cyi, w części, z braku doświadczenia, całkiem nie-
praktycznych.

Zamierzała zrazu do jakiego adwokata, lub re-
jenta pójść i zapytać, czy kolonista ma jakie prawo
opór stawiać. Ale wnet pomiarkowała, że każdy

zadziwi się, czemu nie u brata szuka objaśnień,
które niezawodnie należały do elementarnych wia-
domości dla jurysty. Przytem pomyślała po chwi-
li, że gdyby istotnie było takie położenie rzeczy, to
Waclaw z pewnością nie byłby omieszczał uprzedzić
jej o tem—dla własnej satysfakcyi. Bo już ciż te-
raz doskonale czuła, jak usposobionym był dla niej
ten brat, w którym pragnęła mieć przyjaciela.

Wkońcu tedy, napróżno objawiając myślą i wszy-
stkich znajomych, z pomiędzy których nikt nie był
zdolnym przyjsz z radą lub pomocą, postanowiła
sama sprawę przeprowadzić, jedynie przy poparciu
ze strony rodziców, do których mimo wszystkich
rozczarowań jeszcze zwracała się z dziecięcym za-
ufaniem.

— Pójde z mamą—i koniec. Mama potwierdzi,
że to wola ojca, nie moja zachcianka—i postawimy
na swoim...

W tę drobną pozornie walkę i chęć zwycięstwa
wlewała cały zapal swej młodości i energii, bo
z punktu swoich zapatrywań, przypisywała jej nie-
małe znaczenie.

Przytem w jej moralnej istocie poczęły rozbud-
zać się czynniki potężne w ogólnej działalności
ludzkiej, stwarzające bohaterów rozgłośnych za-
równo jak i innych, nieznanych światu, choć śla-
dem znaczących swą drogę,—czynniki szlachetnego
pragnienia: aby wzbic się ponad ogół niski, martwy,
lub zaślepiony, i wyrwać z toni ginących, nawet
dobrowolnie.

Widziała, że nieznaczną, lecz bezustannie bijącą
fala podmywała podstawy bytu jej rodziców, jak
poderwała już egzystencją wielu innych rodzin;
chciała więc stanąć i podtrzymać dom własnymi
rękoma,—a nie ustąpić póki sił i życia starczy.

Mrok zapadał, musiała porzucić robotę. Poza-
krywała tedy starannie przybory; a następnie z cie-
kawością spoglądała w okno: — Krebsa na polu nie
było.

Wychyliła się głębiej i jeszcze patrzyła, nie są-
dząc, by niemiec już powrócił do domu. Istotnie
stał on w miejscu z plugiem, nieco na uboczu,
i rozmawiał z mężczyzną jakimś szczupłym, w kape-
luszu, po miejsku ubranym, którego rysów jednak
rozpoznać nie mogła, przy zmierzchu i znacznem
oddaleniu.

Do okoliczności tej wszakże nie przywiązywała
żadnej wagi — i poszła nakłaniać matkę do wy-
prawy.

Lecz pani Tekla miała siny ból głowy z powodu
przrychłych wzruszeń przy obiedzie; należało zos-
tać ją w spokoju.

Następnego zaś ranka, gdy posłyszała Joasi pro-
pozycję, aż zachwiała się z przestachu przed kro-
kiem tak samodzielnym.

— Ja iść z tobą?—Zmiłuj się!—No—możeby...
ale ja—nigdy tam nie byłam... Tak! straty znacz-
ne... Ale cóż ja? Co my dwie kobiety?... Jak tu
nawet z takim człowiekiem gadać? On dziś gospo-
darz, trzy razy od nas bogatszy, zuchwały... może-
by ojca jeszcze nakłonić... bo ja wiem...

I zobaczywszy przez okno służkę z koszem powra-
cającą z miasta, zerwała się i wyszła, jak gdyby
nawet nie na seryo brała przedstawione żądanie.

Joasia zwiesiła głowę ze smutkiem i politowa-
niem. Lecz widziała sama, że jeszcze raz do ojca
kołatać musi.

Postanowiła tylko czynić to nie w obecności
Waclawa i z innego tonu; niewieściem instynktem
odgadując, że najprędzej dojdzie do celu, gdy za-
danie odmaluje lekkiem.

Jakoż gdy znaleźli się sami, przekładać poczęła:

— Tylko pójdzie tatka ze mną i wytłomaczy
o co chodzi. A gdy Krebs będzie się opierał, lub
nawet krzyczał, to ojciec się usunie, a ja pozostanę
i ucierać się będę...

Dość, że wzięwszy ojca w obroty doprowadziła
do tego, że pozwolił wsadzić na siebie palto; jakkol-
wiek zrazu patrzył na nią jak gdyby zamierzała
puszczać się balonem, i wogóle musiał się wielce
przewyciężyć, albowiem wszelki czyn doraźny był
ogromnie przeciwny jego naturze, i gnuśność całą
siłą pociągała go do fotela powabem poobiedniego
wypoczynku.

Zrzędził też w drodze, przynajmniej mantlyce-
niem dając sobie folę.

— To to psu na budę się nie zdało... Funt
klaków nikt z tej sprawy nie uskubie... Kłopot je-

no będzie, zobaczysz, pożałujesz,—mówił.—I w tem sęczek, żem nie zapytał Wacława, czy Johan Krebs nie może jakich prefensy rościć o nakład i nawóz, jaki tam wpakował...

Lecz Joasia tłumaczyła, iż dość czasu będzie myśleć o trudnościach, gdy się zjawia.

A chcąc go dla swej sprawy zjednać, poczęła opowiadać, jak w pierwszym roku zaprowadzi na owym gruncie warzywa, aby od razu mieć dochód, a swoim porządkiem plantacją krzewów porzeczkowych założyć.

Jak następnie żywopłotem ochroni od szkody, ale już w jesieni musi niejedno zarządzić, by na wiosnę wydażyć...

Pan Wiktor wszakże słuchając jej tylko, odzyskał jowialną wesołość.

— Tere fere—tere fere, moja droga! Może jeszcze każesz wodzie płynąć w lewo, a wierzbinię rozdzić gruszkami, i wiatr na patyk owiniesz? — Mówił, i poprostu rozśmieszony pod drzwiami Krebsów stanął, ani wiedząc kiedy.

— Niech będzie pochwalony, — rzekł zaraz za progiem zdejmując czapkę, jak przystało wobec wizerunku Chrystusa na ścianie.

Krebsowa, obsadzista szluzaczka, w suto nafałdowanej spódnicy, a z twarzą szeroką, płaskawą, małemi ożywioną oczkami, ledwo odbąknęła coś pod nosem; ledwo też skinęła głową, nie przerywając sobie myślenia białizny, przyczem dopomagały jej dwie dziewczynki, po lat siedm i ośm mieć mogące.

— A gdzież gospodarz? gdzie mąż? — zapytał pan Leski. Joasia zaś dopiero teraz czuła jak serce bije jej niespokojnie.

— Przy młócce, w stodole, — zabrzmiała odpowiedź.

Z podwórza istotnie dolatywało suchym odgłosem miorowe bicie cepów.

— Bo to, widzicie, ja chciałem z nim pogadać. Mam tu do niego interes — więc możeby go tu zawołać?...

Kobieta spojrzała badawczo, a niechętnie, i zawahała się.

— No, to może ja do niego pójde?...

— A, wolna droga, — odparła, ramieniem wzruszając.

Joasia wyszła za ojcem. Czuła dobrze, iż zaczął on z niewłaściwego tonu ugrzecznień i pokory, ale zarazem widziała po samej sobie, że śmiało i butnie stawiać się niełatwo.

Po kilkunastu krokach przed stodołą stanęli.

Tam zobaczyli dwie niebieskie bluzy, dwa skórzane fartuchy, dwa przygięte kapelusze — dwu ludzi zupełnie do siebie podobnych, tem jeno różnych, że starszy miał barki szersze, a przygarbione, twarz zaś zczerniała od słońca i zarostem na podbródku omszoną; młodszy zaś był szczupły, prosty i jasnego, rumianego licca.

Na widok ich obaj ci ludzie opuścili cepy na klepisko i zamienili ze sobą spojrzenie porozumiewające, przyczem ojciec mruknął do syna głucho:

— Sieh—da sind sie schon!...

I obaj zlekka niby się poklonili...

— Szczęść Boże przy robocie! — zaczął tymczasem pan Wiktor i ze zwyczaju i dla zyskania czasu przed właściwym zagajeniem sprawy.

A widząc, że niemcy ani myślą pytaniem ułatwić mu zadania, podjął dalej:

— Zajrzałem tu do was, mój Krebs, bo widziałem chciałem z wami pogadać o tem tu polu, co go tyle lat zasiewacie... Dawniej mi ono potrzebne nie było, więc-em go wam ustępował, ale teraz potrzebne będzie...

— A i cóż tu wiele gadać? Mało my nawozu i roboty w ten grunt nawkładali? — rzekł starszy Krebs, barkami potrząsając. Młodszy zaś gwizdnął, podniósł fajkę, leżącą za wrotami na trawie i odszedł.

Joasia bacznie śledząc obu kolonistów, już chciała odtworzyć usta, gdy ojciec mimo wszystkiego dość przejęty swą rolą przez poczucie sprawiedliwości, trafnie odparł:

— Uprawialiście wy, to prawda, ale też i wy zbieraliście korzyści, nie ja. Nie widziałem to, jakie bujne bywało żyto, a w tym roku dorodne jarzyny?...

— Ha, to i co?—hardziej poczał niemiec.

— Jak co było, to z mojego trudu, z mojej pracy. Za was piach leżał, wy o to nie dbali, wy nie

pomyśleli, co tu może być, wam nie sporo było rąk tu przyłożyć.

A teraz po gotowe to wyciągacie! — Kein Recht, kein Recht!

Pan Leski zachwiał się w przekonaniu o własnej słuszności, i tracił rezon.

Na lica Joasi, przeciwnie, wystąpił rumieniec po części ze wstydu o niedbalstwo, którem w oczy bryzgał prusak, po części i z rozgorączkowania wewnętrznego.

— Dobrze,—poczęła, głos zabierając,—nie przeczę, że dawniej był piasek, a teraz grunt rodzajny. Ale ten kawał ziemi razem z domem przez nas nabity, wam ani darowany, ani sprzedany, więc pozostaje nasz, choćbyście tu zamek postawili...

Krebs spojrzał na nią bardzo złemi oczyma, ale się uśmiechnął nieznacznie.

Ona zaś zbyt mało była wytrawną, by pomiarkować, że odwiedziny ich wcale nie zaskoczyły go nieprzygotowanym, jako rzecz niespodziana.

— A na cóż to ten plac tak wam na gwałt potrzebny?—spytał, poczynając z innego tonu.

Tu zachwiała się argumentacja i powaga pana Wiktora. Roześmiał się.

— Mnie, widzicie, na nic. Tylko ta panienska, moja córka chce ogród rozszerzyć i ciągle mi w uszy kładnie, że jej to potrzebne, — odparł szczerze.

— Panna? A—ogród! I zaprowadzić tu takie *wasze gospodarstwo*, jak wszędzie? So—so, bo nawet warto! Będziecie wy tu dużo mieli, jak tam macie!—szydził bezczelnie, lecz z germańską flegmą.

Joasia znów spłonęła, drżąc wewnątrz. Ale usiłowała panować nad sobą.

— To nie wasza rzecz, co będziemy mieli,—odparła śmiało i stanowczo. — Wasz obowiązek ustąpić, skoro żądamy, i koniec; bo nawet najgorszy człowiek musi liczyć się z Bogiem, z sumieniem, ze sprawiedliwością!...

Niemiec rozmyślał w milczeniu chwilę, wciąż na cepach wsparty. Wreszcie rzekł powoli:

— Jak panna da że sto rubli, to będzie interes skończony...

Joasia oniemiała. A pan Wiktor na dobre się roześmiał, biorąc niejako propozycją za wolne żarty.

— E, już co w tem, widzicie mój Krebs, to żadnego sensu niema,—rzekł wesoło.—Bo weźcie sobie tylko do głowy: jakby tu płacić nam, kiedy giunt nasz i wy tyle lat użytkując, nie płaciliście ani grosza.

No, ja wam nie wymawiam, ale sami tak rozumem zważcie. Przecie stu rubli człowiek na drodze nie znajdzie...

— A główna rzecz, że nie macie najmniejszego do tego prawa,—podjęła Joasia, odzyskując naraz przytomność i odwagę. — To nawet wstyd i nieuczciwość żądać od nas czegokolwiek! Nawet dziwię się, że z tem się odzywacie, bo na jakiej zasadzie? z jakiej racji? Z tej, żeście przez całe lata nadużywali dobroci ojca? To zapewne nasza wina, żeśmy pozwolili na to, ale żadna prawo, by tak nadal być miało, lub żeby wam jeszcze pieniędzmi dopłacać do własnej straty!—dowodziła, pod naciskiem wewnętrznego oburzenia nabierając takiej pewności siebie, iż niemiec mógł przypuszczać, że dokładnie jest powiadomiona o tem, iż w istocie prawnie zmusić jej do żadnych ustępstw nie może.

Mimo to Krebs, czy przez przekorę, czy przez chciwość i chęć wytargowania choćby małej kwoty, zaproponował:

— To choć pięćdziesiąt, choć dwadzieścia pięć rubli panna niech da za ten koszt, co ja sam tu miał...

Pan Leski spojrzał na córkę z niepokojem lubo uśmiech dobroduszny błędził mu po ustach.

— No i co myślisz... dasz?—zapytał z cicha.

Lecz Joasia zpiorunowała go wzrokiem.

— Nigdy!... za co?!—odparła.

— Oto za tę ostatnią robotę, za to żeście tu świeżo zaorali, a już nie dla siebie, to wam z ochotą zapłacę, — zwróciła się wprost do kolonisty.—Obracaliście tu półtora dnia, widziałam; płaci się rubla za dzień, więc przypada wam rubel i kop. 50 dobrze, zaraz je daję... Tatka ma pewno drobne przy sobie?—zapytała prędko ojca, który też skwa-

pliwie po woreczek sięgnął — i wnet odrachowane pieniądze Krebsowi podała.

Niemiec machinalnie zyspał miedź do kieszeni, ale papierek zmiał w dłoni ze złością, która aż nadto świadczyła że wrodzona flegma go opuszcza. Zaklął też okropnie i cepami uderzył w klepisko, że się hukiem rozległo; poczem na papierek napluł i szydzić poczał:

— Co? ja może rubla nie widział? — Mnie rubla dawać, kiedy ja tu sto talarów własnymi rękami włożył?... Mądrale! cudzą krwią, cudzym trudem uprawiać ziemię! I zkład wam się taki rozum wziął, przekłete polaki?... Zejdę ja wam ztąd, zejde,—warknął nakoniec, widząc że Joasia ojca pociąga za rękaw... Ale żeby wam ta ziemia kawałka chleba nie urodziła, żeby wam tu wszystko wyszło i pogniło, jak wy sami zgnijecie!... Żebyście zdechli jak psy, a tego dnia nie doczekali, gdy tu noga wasza stanie—verfluchtes Volk! — zlorzeczył w końcu na cały naród, ciskając przekleństwa w swoim ojczystym języku.

Joasia czuła się tak bezbronna i przerażona, że nie śmiała już otworzyć ust i do odejścia zawróciła razem z ojcem, który jeno ramiona stulał.

Jednak pokój miłująca natura pana Leskiego w ostatniej chwili przemogła i już o kroków parę przystając odezwał się.

— E, nie bluźnijcie tak, mój Krebs, przed Panem Bogiem, bo to grzech wielki...

Poczem w milczeniu doszedł do domu, rad, że się ta cała historia skończyła, i że córka więcej napastować go nie będzie.

Minęła noc jedna i druga—minęło nocy dziesięć i dwadzieścia—cicho i spokojnie.

Ziemia, nad którą zawisła groźba przekleństw, oddychała zwyczajnie w bruzdy pokrajaną piersią—i, cierpliwa, uległa, pozwałała swe grudki przewracać, rozdrabniać, z domieszkami różnemi łączyć, a wreszcie do łona swego przyjmowała wszystko, co tylko ręka ludzka wszczerpić zapragnęła.

Mimo to Joasia długo nie mogła otrząsnąć się z przestachu i przykrego wrażenia, jakim słowa Krebsa ją przejęły, i po przebudzeniu co dzień pierwszy rzut oczu słała w dal na zwiady, niejako z pytaniem: azali duch nienawiści już dokonanej pracy nie zburzył i nie zniszczył. Stapała też po odzyskanej ziemi, jak po nie swojej, i widok wroga nawet zdaleka dreszczem ją wstrząsał, jak gdyby czuła, że pod pozornym spokojem wre zawsze jednaka niechęć i przyczajona zemsta.

Dopiero zwolna, gdy czas upływał i roboty przygotawcze kończono bez przeszkód, gdy następnie i śnieg pierwszy w połowie Listopada przyrzucił ziemię, odpoczynek zyskując całej naturze,—i do jej duszy wróciła pogoda i cisza, a złowrogie słowa zdały się tylko pustym dźwiękiem bez znaczenia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Wiedeń, 30 Maja.

Maj przeszedł, ulubiony wiedeńczyków miesiąc, zawiódłszy wszelkie zwykłe pokładane w nim nadzieje. Zimna majowa aura, od dawnych czasów niepamiętna, wystraszała najodważniejszych z prateru, z parków, ogródków, i w ogóle z wszelkich umajonych miejscowości, zapędzając nolens volens do zadymionych sal koncertowych, do teatrów, a w najgorszym razie do domów, gdzie najmniej lubią siadywać wieczorami mieszkańcy naddunajskiej stolicy.

Bo też rzeczywiście pogoda nie lada figla wyplatała. Po wcale ładnie zapowiadającym się początku Maja, spadłe opodał Wiednia grady, obniżyły gwałtownie temperaturę, darząc nas ulewnym zimnym deszczem przez dni kilka, tak że bez dobrze ciepłego okrycia nie można się było ukazywać na ulicy.

Na szczęście złe już przeszło—wyścigi, koncerty, spacer, są na porządku dziennym, a wielkie corso kwiatowe, jakie się odbyło w zeszłą sobotę, chyba nie miało nigdy jeszcze sobie równego. Można śmiało powiedzieć, że całe miasto brało udział w kwiatowej uroczystości.

Dwór cały, z arcyksiężniczką Stefanią na czele, należał do orszaku uczestniczących. Wystąpiło również całe towarzystwo arystokratyczne z ciałem dyplomatycznym w komplecie.

Pojazdów wszelkiego rodzaju było przeszło 3,000.

Nieliczone tłumy wyległy na ulice, które miały przejeżdżać pochód, zbite w jedną wielką masę tworzyły żywy szpaler, witając głośnie okrzykami, każdy piękniejszy powóz. Widok był czarujący. Wspaniałe, powiewne, o jasnych barwach toalety, podniesione blaskiem oblicza pięknych kobiet, literalnie tonęły w morzu wonnych kwiatów.

Wozy z grupami urządzone przez rozmaite towarzystwa, grupa młodych artystów rzeźbiarzy—doskonała parodia wędrującej komedii—wóz „Śnieżek” wóz udekorowany hełmami z niebieskich i żółtych kwiatów, i o takichże samych barwach toaletami pięknych uczestniczek, zwracały na siebie powszechną uwagę. Najwięcej jednak podobała się Csarda z węgierską muzyką w narodowych strojach członków uczestniczących w pochodzie; oraz wóz oficerów pułku dragonów gwardyi, przybrany w kolory pułku.

Właściwy sezon wyścigowy już się tutaj rozpoczął. Piękne wiedenki, spieszą chętnie na pola wyścigowe, w grze się jednak nie hazardują i pogodzie niezawsze dowierzają, pamiętając jak sobie deszczyk niegrzecznie z niemi postąpił na wyścigach w jedną majową niedzielę—kiedy to z jasnego nieba lunął takimi potokami wody, że suknie, kapelusze, buciki, odrazu zostały zniszczone—nie, tego jeszcze nie zapomniły eleganckie, lecz oszczędne wiedenki.

Najwięcej jednak sensacyjną wiadomością ze świata poświęconego rozrywce, jest otwarcie w Praterze, na wprost dworca kolejowego północnego, ujętego w pyszne ramy wizerunku starej Wenecyi. Wielkie to przedsięwzięcie powinno ścigać tłumy. Liczą na to mają kursować specjalne pociągi po niższej cenie, aby z całego kraju, przybywali turyści zwiedzać Wenecję.

Jak dotąd *sensation monstre*. Pierwszego dnia otwarcia było zwiedzających 40,000 osób—ale nade wszystko obiega już fama, że Wenecya stanie się miejscem podróży poślubnej dla nowożeńców.

Wiedeńska „Wenecya,” rozłożyła się na kilkunastu morgach dawnego parku. Całe zaś urządzenie, daje do złudzenia, podobieństwo jej wielkiej imienniczki, pod względem ogólnego charakteru. Jest także pysznie wykonana panorama placu S-go Marka, z widokiem na Canal-Grande. Są śpiewacy i Śpiewaczki wykonywający oryginalne włoskie i neapolitańskie piosenki, są zręczne tancerki z nieodłącznym tamburinem i namiętnymi południowymi gestami. Są wiernie naśladowane w stylu, wązkie długie ulice, po nad kanałami połączone mostami domy; okolone ganeczka, zamieszkałe, oświetlone wieczorem, ze schodami idącymi wprost do wody.

Są laguny, kanały, z nieprzeliczoną ilością gondoli i gondolierów. Przejażdżka po wodzie w ślicznej gondoli, kierowanej wprawą ręką Włocha, bardzo dziś miła, przy- większych upałach stanie się wprost rozkoszną.

Na placach grywają orkiestry, kręcą się „lazarone,” słowem gwar, ruch, życie, tak że trzeba się dobrze poznać z położeniem i zbadać plan całego improwizowanego miasta żeby nie zblądzić w zaułku jakiej ciemnej uliczki—i nie spotkać się na stronie z podejrziwym Włochem.

Trzeba więc przyznać, iż myśl całego przedsięwzięcia jest dobrą, tembardziej, że owe kanały po zamrażeniu w zimie, będą doskonałym miejscem na ulubioną przez wiedeńczyków ślizgawkę.

Pomimo tej nowej osobliwości, nasze pocziwe skromne wieczorne koncerty, nie straciły swej siły atrakcyjnej. Pić piwo, prz gryzając serem lub salami, stanowi drugą naturę wiedeńczyka.

Teatra do tej pory cieszyły się powodzeniem, a w jednym z nich mianowicie w Carl-Teater, zbiegła zasłużona oklaski pani Zimajerowa.

Zmarła tutaj przed dwoma tygodniami księżna Liechtensteinowa, z domu Potocka, pozostawiając jednego syna znanego przywódcę partii socjalno-chrześcijańskiej—to jest antisemickiej tak silnie dziś stojącej w Austrii. Zmarły dawniej syn drugi, należał do wybitniejszych tutejszych polityków.

Cesarzowa Elżbieta, ma spędzić lato w Bardjowie a z tamtąd przybyć na czas jakiś do Krynicy.

Cesarz Franciszek Józef przyjął deputację, która go zaprosiła na zwiedzenie, czesko-słowiańskiej wystawy w Pradze.

Położenie przesilen parlamentarnych jest jeszcze ciągle naprężone. Dziś nastąpiło odroczenie rady państwa na czas feryi wypadających z powodu Zielonych Świątek—przeszła więc trochę ludzie mówić o polityce, która w ostatnich dniach zajmowała umysły prawie wszystkich.

Skandaliczna sprawa pięknej awanturnicy Teresy Platenik zajmowała czas jakiś gorąco tutejszych mieszkańców. Piękna dama narobiła tyle długów i malwersacji, że w końcu musiała się do kozy dostać. Znała ją i podziwiał cały Wiedeń z pięknych strojów i wspaniałych ekwipaży.

Na tutejszych niedzielnych wyścigach nagrodę Żokiej-klubu (austriacka grand prise) 100,000, 10,000 i 4,000 koron, wygrał 1-szą nagrodę „Tokio” S. Bultford. 2-gą Harkanayego „Csaplarrs. 3-cią Hr. G. Andrassy „Levente.”

Oswald.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

— Uboga jest obecnie w poezję literatura tegoczesna nie tylko nasza i do niemałej zasługi w tym zakresie, zaliczyć trzeba przekłady mistrzów dawnych. Dante Alighieri miał u nas dwóch tłumaczy: Juliusza Korsaka i Antoniego Stanisławskiego, przecież uciechy nam się trzeba, nadzieją trzeciego, który zapowiada przekład pieśni pierwszej „Pieśń,” umieszczony w „Kronice rodzinnej,” a wyszły z pod pióra szlachetnego poety, Felicyana Faleńskiego.

— Rodzina zmarłego poety, Gustawa Zieleńskiego, zamierza wydać całość jego utworów, mieszcząc tu i drukowane już poprzednio poemata: „Kirgiz,” „Stepy,” „Jan z Kępy,” „Giermek,” „Koń beduina,” „Samobójca,” „Pokusa.” Czytelnik znajdzie tu zarazem i wiele poezji ulotnych, rozrzuconych dotychczas po różnych czasopismach.

— Nakładem firmy księgarskiej M. A. Wizbecka wyszedł obrazek sceniczny p. Kazimierza Glińskiego „Chata Nikodema.” Jest on pisany wierszem gładkim, lecz zaleta jego wyższa jest przedewszystkiem w idei szlachetnej. Dziewczę wiejskie, urodzone pod słomianą strzechą, przecież wychowane we dworze i nie nie wiedzące o pochodzeniu swoim, nie wypiera go się w chwili, gdy rzecz stać się powinna jawną w obec miłości hrabiowskiego syna dla dziecka ludu i woła z uczuciem szlachetnego zapału: „Teraz pójde śmiało, gdzie serca chore, gdzie myśl się rozprasza, jak nie związane pilną ręką ziele i powiem chatom: jestem córka wasza...”

— Do skarbcza literatury naszej przybył klejnot drogocenny; wybór poezji Lenartowicza wyszedł świeżo, a dodać trzeba, że poezye to są prawdziwe, bo wprost z serca wypływające i idące też do serca. Czuć to w ich rytmie, w wyrazie uczucia, w barwie malowidła—czuć to w każdej zwrotce, co poeta wypowiada wdzięcznie, gdy patrząc na „Wiecznie to samo,” co go otacza, śpiewa:

Mnie wszystko tak cieszy co swojskie, co nasze,
A ludzie mi drodzy i mili...

I nie wiem co miłsze nad wiejskie poddasze,

Nad ptaka co w krzakach wciąż kwili?

Nad żonę, co biały len przedzie w świetlicy,

Nad ziemię co zboże mi rodzi,

Nad gwiazdkę, co w czystej się kapie krynicy,

Nad miesiąc co z lasu wychodzi.

A przecież jak na dnie serca poety, tak i w utworach jego brzmi często, często bardzo ton tęsknoty za czemś drogiem, a nie uchwyconem nigdy, ku któremu wyciąga z miłością ramiona. Znano go mazurskim lirnikiem, bo pigno swojskie nie zatarało się w poezji jego wtedy nawet, gdy śpiewał piosenki z obcego tonu w czasie długiego pobytu we Włoszech, jak dowód tego daje nam piosenka „W gaju Tivoli.”

Hej ptaszku z nad drzewa

Na próżno nie zwódź,

Nie ona to śpiewa:

Chodź! chodź! chodź! chodź! chodź!

Ale w piersi poety mieściły się nie tylko słodkie wzruszenia, wzbudzone urokami wdzięków przyrody.

— Zbiorek poezji Henryka Jakubowicza nie daje czytelnikowi tego, co od poezji żądać ma prawo, bo nie tu nie krzepi, nie podnosi w nim ducha, nie przedstawia przytem tego uroku, tego piękna, jakiego czytelnik od poezji ma prawo żądać. Poemat, z którym spotyka on się najpierw: „Być, lub nie być?” ukazuje człowieka odartego ze wszystkich wierzeń i nadziei życia, które też chce sobie skrócić, przecież cofa się w ostatniej chwili, wołając z rezygnacją bolesną, że ten nasz świat ziemski nie jest ogrodem rajskim, „gdzie złote jabłka na drzewach kwitną.” Drugi z kolei „Aspazyja,” jest utworem tendencyjnym, w którym upomina się on o prawa kobiety do wiedzy szerszej, wykazując że „Tam tylko nawy społecznej siła,” gdzie „słaba kobieta śmiała dłonią świecznik wiedzy z niebios uchwyciła.” Słaba nie może przecież być tak dzielna i odważna, lecz poeta jakoś nie umie zcharakteryzować sobie dostatecznie tego, co pragnie kobiecie dać i od kobiety odbierać, bo pyta jej w uniesieniu bolesnem, czemu mógł by ją obdarzać w zamian za dary jej rozmaitych przymiotów, „za postaci jej szal.” Pierwsze to są zapewne próby na polu twórczości literackiej, która przecież przybierze sobie z czasem doskonalsze formy wypowiedzenia się, bo znajdują się tu wyrazy uczuć i myśli szlachetnych, które to wróżą, jak na przykład ten czterowieś:

„Żyć z ogniem bólu i myśli lodem,

Cierp pod kopułą niebios błękitną,

Bo świat ten przecież nie jest ogrodem

Gdzie złote jabłka na drzewach kwitną...”

— Rozumnym spostrzegawcą był ten, kto przysłowia nazwał mądrością narodów. Tworzy je bowiem ogół cały, przyjmując do umysłu swego zdanie, które uważa za godne, aby weszły do skarbcza jego myśli i S. Adelberg dokonał rzeczy pożytecznej, że zebrał je możliwie wszystkie w książce, bo w tem zespoleniu przedstawiają nam one myśli, poglądy pokoleń na życie i jego sprawy. Zrozumianiem to zostało nie dziś też dopiero. Wiek XVII, już nam ich zbiór bogaty zostawił, a pierwszą było tu praca Salomona Rypińskiego, wydana w 1618 r., a wkrótce potem, w 1632 ukazała się druga ich księga, zebrana przez Grzegorza Knapkowskiego. Nasze czasy zrozumiały również znaczenie przysłów dla historyografii moralnej narodu, zbierali je też ludzie, których rzecz ogólna zajmowała; Wójciecki, Tymoteusz Lipiński, Bartoszewicz, Krzewska, czerpali je ze starych źródeł, z mowy ludu i w 1887 r. S. Adelberg miał ich zgromadzonych przeszło dwadzieścia tysięcy, a praca to niemała, bo objęła przeszło osiemset stronice książki, a przecież autor nie uważał jej jeszcze za pełną i wyczerpującą swój przedmiot, któremu się oddawał z zamiłowaniem, widząc w przysłowia, jak też jest niewątpliwie, materyał do studyów językowych—do studyów moralnego rozwoju społeczeństwa. Książka poświęcona jest Oskarowi Kolbergowi, który zarobił sobie na wyższe uznanie ogółu przez pracowite zbieranie materyału do ludoznawstwa naszego. Kasa imienia Mianowskiego przyłożyła się do wydania tej pożytecznej dla ogółu książki.

— Książka bardzo w stosunkach życia ludzkości pożyteczna „Zasady gospodarstwa społecznego, przez T. Rozmanowicza,” wyszła w Krakowie. Naukę gospodarstwa człowieka na globie ziemskim na-

zywa autor słusznie „filozofią życia narodów,” bo opiera się ona, jak dowodzi niemylnie, na rozumem wejrzeniu w potrzeby i obowiązki człowieka—zadania, które odpowiadają jego naturze i powinnościom względem ogółu. Szkoda tylko, że rzecz jest nie dość dostępnie dla ogółu czytelników pisana, nie wyjaśnia bowiem zagadnień społecznego życia na podstawie danych, jakich się rzeczywistość tu domaga.

— W Krakowie również wyszła świeża książka, bardzo zajmująca dla tych, którym ustrój społeczny i jego przemiany, przedstawiają żywotny interes ludzkości „Kultura Odrodzenia we Włoszech,” przekład z niemieckiego oryginału Jakóba Burghardta, rzecz wielce zajmująca, napisana z głębią wejrzeniem w dzieje włoskie i charakter tego narodu. Przekład polski, którego wyszedł dopiero tom pierwszy, dokonanym został bardzo dobrze. Tom I, zawiera charakterystykę formowania się Włoch nowożytnych, poczynając od XIV i XV wieku, ustrój wewnętrzny drobnych republik i potęgę Papieża, co szczególnie przez stronę rzeczy obyczajową, przedstawia bardzo zajmujące czytanie. Tom II żywszy jeszcze zwłaszcza dla ogółu czytelników, budzić będzie interes, bo zawrzeć się tu ma obraz rozwoju nauk, literatury, sztuk pięknych i w ogóle objawów życia narodu w epoce Odrodzenia, gdzie stawia przed czytelnikiem te, grunt rzeczy tworzące zagadnienia społeczne, jak stanowisko rodziny, stanowisko kobiety w narodzie, ideały i przekonania.

— Paryżkie czasopismo „Le Correspondant,” drukuje obecnie w przekładzie, bardzo dobrym „Dzienniczek Franciszki Krasieńskiej.” Przekład nosi tytuł „Un roman dans l'histoire,” którego dokonała baronowa de Baulney, córka ministra stanu za Napoleona III, Rouher'a. Tytuł został zmieniony na „Un roman dans l'histoire,” a redakcyja „Korespondenta,” pisze, że często dzieje życia prawdziwe przedstawiają epizody silniej wzruszające, niż najsmielsze fikcy powieściopisarzy, dodając, że rzeczy tłómaczone z polskiego, przedstawiają czytelnikowi obrazy nie tylko pełne interesu przez gorące ich malowanie, ale są one zawsze czyste i wzniosłe, oparte na uczuciu, nie zaś na namiętności. Baronowa zamierza tłómaczyć wszystkie powieści Sienkiewicza, którego. „Pójdźmy za Nim,” przełożyła już w roku zeszłym i drukowała we wspomnianem piśmie.

O WYBORZE KURACYI.

Wybór miejscowości na letni pobyt.

Cudotwórcze promienie słońca rozwinęły już w pełni roślinne życie, budząc popęd do swobody pól i lasów w każdym zdrowym człowieku—choć i ten, który przez długie tygodnie cierpień fizycznych czuł zmniejszone w sobie siły, albo taki który przez całe miesiące skarżył się na nieprawidłowe funkcjonowanie swoich organów—to i taki nawet czerpie swoją otuchę w dobroczynnym słońcu.

Powietrze, światło, są to czynniki za pomocą których najprędzej przychodzą ludzie do zdrowia—zachodzi tylko ważna kwestya aby zrobić właściwy wybór miejscowości, któraby swemi klimatycznymi warunkami najlepiej odpowiedziała czy to blademu anemicznemu dziecku, czy też potrzebującemu wzmocnienia sił dojrzałemu człowiekowi.

Powszechnem jest mniemanie jakoby dla ludzi zniewolonych konieczną pracą do zamknięcia się przez większą część dnia w ciasnych pomieszczeniach biur lub kantorów, najstosowniejsem miejscem letniego wypoczynku jest oddalona od zgiełku cicha, mało ludna miejscowość.

Jest to zupełnie fałszywy pogląd.

Pomijając już nawet nieprzyjazną pogodę uniemożliwiającą nieraz spędzenie przyjemnie czasu przeznaczonego na odpoczynek—to jeszcze osoba przyzwyczajona do ciągłego zajęcia, nie znajdzie w takim razie sposobności do wynagrodzenia sobie tego braku ożywieniem jakie życie u wód wywiązuje.

Nie każdy może przez długie tygodnie zachwycić się, często niebardzo urozmaiconymi pięknosciami natury i pozbawić się wszelkiego duchowego posiłku—szczególnie przy złej pogodzie.

Miejscowość oddalona od ruchu światowego jest wprawdzie miejscem wypoczynku dla prowadzących wielkie interesa handlowe, dla grających na giełdzie, w ogóle dla uwijających się ciągle w tłumnych zebraniach—kto jednak prowadzi życie jakkolwiek czynne ale regularne, ten znalazłszy się w ciszy i osamotnieniu wkrótce tęsknić będzie za przyjemnościami, jakie dobrane towarzystwo nastrocza, a które dla jego duchowego i cielesnego ustroju są potrzebne.

Zdarza się też często, że ktoś zajęty cały rok interesami wielkomięjskimi, usuwa się do ciszy leśnej, do spokoju w górach—i spotyka tam liczne grono swoich znajomych. Naturalnie nie ma wtedy mowy o wypoczynku, bo nie ma sposobu całkowitego oderwania myśli od pozostawionych w mieście—interesów i kłopotów—pocziwi znajomi przypominają je bezustannie.

A wczesne wstawanie (niechajby chociaż w rannych godzinach użyć spokoju) pozostaje w ciągłej sprzeczności z długiem czuwaniem w kółku znajomych.

To też takie niespokojne towarzyskie życie sprawia, że kuracysz wraca do domu z bardziej osłabionymi nerwami, niż je nawet miał przed wyjazdem na odpoczynek.

To znów zdarza się, że przyjaciółka namawia jedną drugą do spędzenia razem wakacji nad morzem, zapewniając, że morskie kąpiele doskonale jej pomogły na osłabienie w zeszłym roku—naturalnie namowa skutkuje; jadą nad morze obydwie, nie pytając nawet o poradę doktora czy to miejsce jest dla ich konstytucyi odpowiedniem, i pomijając też wszelkie ograniczenia trwania i ilości kąpiele. Młode przyjaciółki kąpią się też zawzięcie, dotrzymują placu najwytrwalszym, lecz pomimo to zamiast zdrowia przywożą do domu chorobę. Wtedy wezwany dopiero lekarz objaśnia że choroba została wywołana niewłaściwie prowadzoną kuracją.

Z przytoczonych powyżej przykładów widać, jak łatwo pozbyć się korzyści z wypoczynku, przez zły wybór miejsca letniego zamieszkania.

Przed wybraniem miejsca na kurację, trzeba przedewszystkiem zwrócić uwagę na niektóre podstawowe zasady. Jak często słyszymy pytanie czy można przeprowadzić kurację picia wód w domu. Na to pytanie jest jedna stanowcza odpowiedź. Nigdy! Właśnie głównym warunkiem przy kuracyi wodnej jest zupełny spokój, wstrzymanie się od wszelkich interesów i podnieceń. To są właśnie czynniki, zbawiennie oddziałujące na zupełne wyzdrowienie i gruntowne wzmocnienie i pomagają więcej jak same wody.

Niech więc nikt nie używa kuracyi wodnej wśród nacisku interesów, a kto tylko może niech pije wody u ich źródła. Nawet ci co mogą pic wody w ciszy poranku w swoim własnym ogrodzie—nie otrzymują jednakowego skutku z tymi, którzy piją wody na miejscu u źródła.

Dopóki znajdujemy się we własnym otoczeniu, nie można się usunąć od wymagań, które z nim mają związek—a właśnie usunięcie się od drobnych zobowiązań codziennego życia, jest zadaniem letniego odpoczynku.

Powtórę jest także nieomylnym pewnikiem, że wszelkie sztucznie przyrządzane wody, jako też i te, które są czerpane ze źródła i we flaszkach rozsyłane, nie wywierają takiego samego skutku jak woda świeża u źródła.

Osoby nerwowe, nie okazujące żadnych innych chorowitych usposobień, powinny sobie wybrać jako najskuteczniejszy środek leczniczy—spokojne miejsce na wyżynach gór, lub na wybrzeżach morskich.

Niemna nie bardziej uspakajającego nerwy, jak położywszy się na ławie piaskowej, patrzeć na gwałtowne podnoszenie się fal, na niezmierzonej okiem morskiej przestrzeni. Albo znów na wyniosłości gór, pośród lasów czuć ich balsamiczną woń w powietrzu. — Przytem oddziaływa doskonale na szybszą przemianę materii, zarówno obfite w sole i przepiękne azotem morskie powietrze, jak też i rzadsza, czysta atmosfera górską.

Przeciwnie zupełnie, ma się z osobami, które z powołania swego zmuszone są do prowadzenia siedzącego spokojnego życia, albo też z usposobienia unikają każdego większego ruchu—te powinny najprzód umiarkowanemi, następnie silniejszymi ćwiczeniami starać się wstrzymać napływy krwi do organów ciała i przeszkody przytrafiające się w obiegu soków. Kto nie jest jeszcze zanadto otyły dla tego najlepiej będzie jak sobie obierze pobyt w lecznicy odwiedzanym miejscu morskich kąpiele.

Zimne kąpiele, wiosłowanie, spinanie się po górach, często niepotrzebnem czynią używanie wód alkalicznych.

Osoby zanadto wiele jedzące i cierpiące na otłuszczenie, najlepiej zrobią, jeżeli po użyciu przepisanych wód, regulujących zmianę materii,—udadzą się w góry, i tam używać będą kuracyi według systemu Oertla.

Zimnych kąpiele zabrania się dla skłonnych do kongestyi.

Zresztą kładzie się nacisk na przyjemność jaką dobrane towarzystwo sprawia.

Osoby mało posiadające krwi, szczególnie kobiety powinny się wystrzegać pobytu na wysokich górach i przy morzu północnem, najlepszym dla nich pobytom są niewielkie wzgórza.

Wody żelazne nie koniecznie potrzeba pić u źródła. Żelazo w materii stałej (pigułki) często najlepsze wydaje skutki.

Na wielkie znaczenie mleka, już tyle razy zwracano uwagę — dla tego też przy wyborze miejscowości należy zwracać uwagę, czy z łatwością, dobrego mleka dostać będzie można.

Kobiety anemiczne powinny używać ruchu ale powolnego i stopniowo zwiększającego się; nie powinny też chodzić po miejscach wystawionych na działanie słońca. Dla powyżej wymienionych osób obrana do letniego pobytu miejscowość nie powinna być wilgotna, ani też podlegająca raptownym zmianom temperatury, bo osoby ubogie w krew, szczególnie w początkach kuracyi bywają bardzo wrażliwe.

Poleca się więc rozpoczęcie kuracyi przez pierwsze 4 tygodnie w miejscowości górzystej, umiarkowanej a następnie dla zupełnego wypoczynku pobyt przez kilka tygodni nad morzem, dla zahartowania już wzmocnionego organizmu.

Przytem nie należy używać kąpiele zimnych, na co zawsze trzeba zwracać uwagę przy małym tworzeniu się krwi. Zaś kąpiele żelazne i solanki jak również i ciepłe kąpiele z wody morskiej, wywierają zbawienny wpływ na zmianę materii u osób anemicznych.

Co do wyboru miejscowości dla letniego wypoczynku dla dzieci wątłych, skrofiliicznych, to jeszcze raz powtórzyć można:—Powietrza, światła dajcie im jak najwięcej. Dobrze też jest pozwolić dzieciom w dni ciepłe, chodzić boso po piasku. Smieszna jest nieraz próżność matek, chcących ochronić małe dziewczynki od opalenia, — a przecież tylko zdrowe dziecko jest ładne, i tak jak roślina do normalnego rozwinięcia się potrzebuje słońca, tak samo i dziecko jak pączek kwiatu potrzebuje ożywczycich słonecznych promieni.

Ze się nie wystawia dzieci, w dniach kanikularnych z odkrytymi głowami na działanie promieni słońca, to chyba wie o tem każda matka. Letnia czapeczka lub słomiany kapelusz wystarcza doskonale na zabezpieczenie dziecka od przepalenia głowy.

Dla dzieci, zalecają się także te miejscowości, w których dużo dobrych owoców, i świeżych jarzyn się znajduje, ponieważ one w normalnych warunkach powinny stanowić jeden z najważniejszych pokarmów. Powinny się także znajdować suche łąki i piaszczyste miejsca dla zabawy.

Najtrudniejszy jest wybór miejsca letniego pobytu dla rodziny, której członkowie rozmaitych kuracyi potrzebują.

Szczęściem jednak znajduje się po świecie wiele takich miejscowości, które i temu zaradzić mogą—gdzie obok żelazo zawierającej wody, wytryska z ziemi szczawa alkaliczna, a spacer po górach okrytych iglastymi i liściastymi drzewami zbawienie wpływają na organizm szukających tam wypoczynku.

Na końcu, zaś daje jedną najlepszą radę. Przed ostatecznym wyborem miejsca na kurację letnią, pomówić o tem z lekarzem.

Stary przyjaciel „Bluszczu.”

Z bieżącej chwili.

— Dzienniki Petersburskie donoszą, iż rada państwa uchwali wkrótce niższą cenę przewozowego od maszyn i narzędzi rolniczych. Na ostatnim posiedzeniu rady wydano postanowienie, mocą którego z płacy zarobkowej można potrącać na spłatę podatków niezłatym nie więcej nad $\frac{1}{3}$, żonatym $\frac{1}{4}$.

— Misteryum skarbu wydało polecenie, aby urzęda celne przy przepuszczaniu przez Komorę próbek towarów przewożonych przez agentów podróżujących, sporządzały specjalne protokoły z dokładnym oznaczeniem cła poborowego za nie. Protokoły te zostaną wręczone agentom podróżującym, aby przy powrotnym przewozie tych próbek mogli otrzymać na tej podstawie zwrot cła.

— Jednocześnie ze spisem ludności zamierzono, jak to donoszą dzienniki petersburskie, dokonać obliczenia koni i inwentarza domowego.

— Wydział starców i kalek Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności wykazał na ostatnim zebraniu Towarzystwa, iż znajduje tam przytułek 356 pensjonarzy stałych, a to: 109 mężczyzn a 247 kobiet!

— Na pogorzalców Brześcia Litewskiego złożono w „Kuryerze Warszawskim” po dzień 26 z. m. 17,506 rs. Komitet ratunkowy, zawiązany w tymże mieście wydaje pogorzalcom chleb a rada miejska otworzyła kuchnię bezpłatną i obecnie znajduje się tam siedem takich kuchni. Redakcja „Kuryera” Warszawskiego pośrednicząca w przesyłaniu ofiar dla pogorzalców, przestała też z d. 27 z. m. przyjmować składane na ten cel pieniądze. Co złożonem tu będzie z tą myślą, redakcja przeznacza dla pogorzalców Koprzywnicy, Rożan i Kobrynia, a dodać należy, że zarząd Towarzystwa wyścigów konnych wyasygnował z funduszy własnych 1,500 rs. na pogorzalców Brześcia.

— Profesor uniwersytetu Warszawskiego, Walenty Miklaszewski, który po trzydziestu latach wykładow prawa usunął się na odpoczynek, otrzymał od grona pracowników bardzo ozdobne album pamiątkowe. Wykładał on procedurę karną poczynając od 1865 r. najpierw w Szkole Głównej, następnie w uniwersytecie warszawskim, a dodać należy, że napisał wiele rozpraw i przepisów dla użytku sądów gminnych.

— Konkurs „Gazety Rzemieślniczej” zakończył zadanie swoje. Pierwszą nagrodę, 75 rs. otrzymał p. Władysław Kurkiewicz za artykuł pod godłem: „Któż tak mądry iż zgadnie, co mu jutro przypadnie.” Drugą nagrodę 50 rs. przyznano p. Konstantemu Kłobukowskiemu za pracę z godłem: „Lepszy grosz pewny, niż niepewne krocie,” trzecia, 25 rs. dostała się p. W. Pilawskiemu, majstrowi zduńskiemu z Olkusza. Obok tego uznano za godne ogłoszenia drukiem rękopisma pp. Jankowskiego z Warszawy.

— Wystawa etnograficzna, mieszcząca się obecnie przy ulicy Wiejskiej, Nr. 18, przeniesiona będzie z dniem 1-go lipca na Nowy-Swiat. Wystawa posiada bogate zbiory przedmiotów, któremi posługują się rozmaite lud wszystkich części świata, obok tego są tu dzieła sztuki pierwotnej, przedmioty zo-

stające w związku z obrzędami religijnymi, zwyczajami i zabawami ludowymi. Jest to tu między innymi przedmiotami wielki zbiór pisanek, albo inaczej zwanych krasanek, to jest jaj farbowanych różnokolorowo przez wieśniaczki nasze na uroczystość wielkanocną. Opłata wejścia bardzo tania: 15 kop., dla dorosłych, 10 kop., dla dzieci i uczniów, a szczególnie dla osób urodzonych w mieście i zamieszkujących tu stale jest co widzieć z zakresu życia ludu, jego zwyczajów, opartych na podstawie starych tradycji, bo ukaże im się zarazem ludu tego i sztuka.

— Na ostatnim posiedzeniu zarządu przyszłej wystawy higienicznej uchwalono, aby analiza oddawanych na wystawę produktów spożywczych i tym podobnych, odbywała się możliwie najtańszym kosztem celem uczynienia jej przystępną dla wystawców. Dla wystawców po za konkursem analiza nie jest obowiązkowa, ci przecie, którzy pragną otrzymać nagrody i odznaczenia poddać jej się muszą koniecznie. Postanowiono, już przystąpić co najrychlej do wznoszenia budynków wystawowych, a szczególnie pawilonu głównego, tak wzniesionego, aby przedstawiał się do pewnego stopnia okazale i mógł stanąć na skwerze, gdzie się urządza wystawa, jako własność miasta. Komisję gospodarczą, składającą zaproszeni tu do udziału p. p. Cichocki, Goldberg, Mościcki, D-r Polak, Rakiewicz, Rudnicki.

— Czyn szlachetnej odwagi i przytomności umysłu spełnił się we Francji, w Bretonii, gdzie też przechowały się najlepiej te tradycje, które niegdyś czyniły naród francuzki potężnym i czczonym za jego idee postępu i szlachetnie pojmywanych obowiązków ludzkości. W departamencie Morbihan, w miasteczku Saint Wolff, zebranych było na posiedzeniu w sali merostwa około osób dwieście, gdy naraz nauczyciel miejscowej szkoły miejskiej uczuł, że podłoga ugina mu się pod nogami. Przecież nie krzyknął na trwogę, nie uciekał, aby nie wzniesić zgubnego popłochu, tylko szybko się wysunął z pośród obradujących, zbiegł na dół i najspokojniej jak można było zarządził pomoc: podpórę z pali mocnych podstawić kazał pod sufit sali parterowej, kierując tą robotą i wtedy dopiero gdy spokojnie rzecz obwieścił zgromadzonemu, stanął tu jakoby komendant powoli dokonywanego opróżnienia sali. Rada municypalna złożyła mu też podziękowanie przez wysłaną doń deputację a Akademia frauczka zaprosiła go do grona swego, jako honorowego członka.

— Dyrektor Towarzystwa Handlowo-geograficznego ze Lwowa, wyjechał w ostatnich dniach ubiegłego miesiąca do Brazylii w interesie tegoż towarzystwa. Kupcy, przemysłowcy lwowscy, pragnący zawiązać w Brazylii stosunki handlowe, będą mogli porozumiewać się z delegatami Towarzystwa, a wywozić tam można najrozmaitsze przedmioty: płótno, ubrania gotowe, wyroby koszykarskie, sprzęty domowe, książki, obrazy a nawet sól, wódkę, przywożąc w zamian kawę i rozmaite produkty, towary ko-

lonialne. Lecz drugostronnie obalamuceni biedacy stają się ofiarą nieuczciwych spekulantów i właśnie przybyli do Wiednia zatrzymani w Gracu emigranci galicyjscy, dążący do Brazylii: rodzin pięć z dziećmi małemi. W d. 25-ym Marca ukazało się w radzie państwa pięciu owych wieśniaków, aby za pośrednictwem posła Lewakowskiego dostać się mogli do Ameryki. Lewakowskiego nie było właśnie na posiedzeniu, ale inni posłowie: Barwiński, Zalewski, Hompesch, Wichmanin, Roman-czuk, zwrócili się do nich tłumacząc, że gubią się własnowolnie, ale rady te nie skutkowały. Poseł Wielowiejski, który jest prezesem Towarzystwa S-go Rafała, zajmującego się sprawą i emigracyi, ofiarował im bezpłatny powrót do kraju i danie im pracy zarobkowej w okolicach Kołomyi, ale nie chcieli przyjąć ratującej ich ofiary. Nieszczęśliwi nie chcieli przypuścić do głowy myśli tej okrutnej, że stali się ofiarami szalbierzy.

M Y Ś L I

Gdzie się rozwiemożnia satyra, tam niewątpliwie jest tego potrzeba aby ludzie wejrzeni w siebie, wydali sąd o sobie i społeczeństwie swoim.

Oświata, czyli cywilizacya, wysnuta z wewnątrz, zrosła z istotą społeczeństwa, więc wyrażająca się w objawach życia, jest źródłem i wytryskiem działalności teoretycznej narodu w najobszerniejszym znaczeniu tego wyrazu. Stanowi też iście jego bytu, jest jednością w usposobieniu ogółu i tego co się zeń rodzi—co powstaje z natury, to jest z usposobienia społeczeństwa, w którym żyjemy.

Przyszłość a nie przeszłość powinna być niewątpliwie najważniejszym celem badań naszych, przecież znajomość przeszłości ma znaczenie wielkie dla przyszłości, bo oświeca nas z jakich przyczyn rodzą się skutki jakie. Aby wybiegać na przód duchem, trzeba znać dobrze drogi, któremi chodzi ludzkość.

J. Majorkiewicz.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu” dołącza się: powieść **Co jest szczęście?** przez Aleksandra Römęra. Przekład z niemieckiego, ark. 7.

OD WYDAWCY.

„Bluszczy” w kwartale przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

TREŚĆ: Poezya, przez Selima.—Pogawędka, przez ?? — W codziennej walce powieść współczesna St. Ariel. (dalszy ciąg). — Korespondencya zagraniczna przez Oswalda.—Wiadomości literackie.—O wyborze kuracyi. Wybór miejscowości na letni pobyt. — Z bieżącej chwili.—Myśli.

Dodatek obejmuje: **Co jest szczęście?** powieść przez Aleksandra Römęra, przekład z niemieckiego ark. 7-my. — Przegląd mód. 27 wzorów i robót z opisem. — Sekretu gospodarskie.—Dyspozycya stołu.